Rok XXV. We Lwowie, dnia 11. października 1918. Nr. 41.

# Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna 27·— K
półroczna 14·— „
kwartalna 7·— „
Numer pojedynczy kosztuje 50 hal.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. PECHNIK, Syksluska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 40 h. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.



## Koniec wojny? — Świt nowej epoki?

Do długiego szeregu niespodzianek, które nam przyniosła wojna obecna, przybyły teraz nowe, — fakty ogromnej doniosłości, zapowiadające nową epokę dziejową: państwo Wilhelmów i Bismarków, dzielnica junkrów, depcących z butą niesłychaną prawa całych narodów, żądających od naszych braci, żeby wyrzekli się imienia polskiego, zabierających im ziemię ojczystą, trzymających w niewoli setki tysięcy robotników, sprowadzonych z Królestwa i td. — to państwo wstąpiło na drogę demokratyzacyi i parlamentaryzacyi, powołuje do rządów przedstawiciela katolików (Groebera) i socyalistów (Scheidemanna), narzuca Prusom powszechne i równe prawo wyborcze, godzi się na program pokojowy Wilsona — program, który w oczywistej stoi sprzeczności z dotychczasową polityką Bismarków i Hohenzollernów!

Wszakże według zasad, postawionych przez Wilsona w mowie z 18 lutego 1918 (2 zasada) „narody i prowincye nie mogą być przerzucane jak przedmioty lub kości do gry z pod władzy jednego państwa pod władzę drugiego, choćby szło o wielką grę równowagi siły, obecnie zdyskredytowanej na wszystkie czasy.

3. Wszelkie rozwiązanie spraw terytoryalnych, które stało się aktualnem przez wojnę obecną, ma być dokonane w interesie i na korzyść danej ludności, a nie jako część samej ugody lub kompromisów między rywalizującemi państwami.

4. Wszystkie jasno określone żądania narodowe mają otrzymać najszersze zaspokojenie bez tworzenia nowych czynników sporu i zatargu, któryby prawdopodobnie inaczej zakłócił znowu pokój Europy, a więc całego świata".

A dalej w mowie wygłoszonej 27. września br. w Nowym Jorku zestawił Wilson następujących 5 punktów:

„1. Sprawiedliwość, na której pokój ma być zbudowany, nie może znać żadnych uprzywilejowań, lecz jedynie równe prawa dla wszystkich interesowanych narodów.

2. Żaden specyalny interes żadnego poszczególnego narodu, ani też grupy narodów nie może być podstawą jakiejkolwiek części umowy, jeżeliby to nie stało w zgodzie ze wspólnym interesem wszystkich.

3. We wspólnej rodzinie związku narodów niema miejsca na żadne specyalne umowy.

4. W związku nie może być mowy o specyalnych egoistycznych kombinacyach gospodarczych, nie może być zastosowany gospodarczy bojkot w jakiejkolwiek formie, z wyjątkiem pełnomocnictwa, udzielonego związkowi narodów celem dyscypliny i kontroli gospodarczej, tudzież nakładania kar przez wykluczenie z rynków światowych.

5. Wszystkie międzynarodowe układy i umowy wszelkiego rodzaju muszą być w całej osnowie podane do wiadomości reszty świata".

O Polsce zaś powiedział Wilson w orędziu swojem z 8 stycznia 1918 (w punkcie 13):

„Należy utworzyć niepodległe państwo polskie, które musi objąć obszary niewątpliwie przez ludność polską zamieszkałe. Państwo to musi posiadać wolny dostęp do morza. Jego niezawisłość gospodarczą i nietykalność terytoryalną należy poręczyć układem międzynarodowym".

O tym to właśnie programie powiedział nowy kanclerz Rzeszy ks. Maksymilian badeński d. 5-go bm. w parlamencie, że Niemcy „przyjęły go za podstawę rokowań", — a to samo uczynił rząd austro-węgierski.

Trudno nam wprawdzie jeszcze uwierzyć w szczerą gotowość Niemiec do zawarcia pokoju trwałego na tej podstawie — bo w takim razie musiałyby zrzec się i ziem zabranych Polsce i prowincyi, zdobytych w r. 1870, o których do niedawna zapewniano ciągle, że o ich oddaniu nie może być nawet mowy; — ale bądź co bądź nie podobna odmówić wielkiego znaczenia faktowi, że program amerykański przyjęty jest w zasadzie przez państwa centralne, że uznano prawo wszystkich narodów, nawet najsłabszych, do wolności, do stanowie-

nia o sobie. Wiemy, że według zasad etyki chrześcijańskiej żaden naród nie ma prawa do powodowania się własnym wyłącznie tylko interesem, do pomiatania wszelką powagą — Boską i ludzką, do rokoszu przeciw władzy prawowitej; — ale każdy ma prawo przyrodzone, równie jak każda jednostka, starać się wszelkim sposobem godziwym o pozyskanie dla siebie pomyślnych warunków rozwoju i bronić swego bytu, swojej wolności.

Jeżeli na to się zgodzą narody, krwawiące się jeszcze dzisiaj w zapasach śmiertelnych, jeżeli utworzą między sobą związek, zapewniający opiekę uprawnionym interesom wszystkich, będzie to urzeczywistnieniem myśli, którą wypowiedział Leon XIII. w r. 1889, dziesięć lat przed pierwszą konferencyą pokojową w Hadze: „Niema sprawy bardziej naglącej i bardziej niezbędnej, jak przeciwdziałanie wojnie i wszelkie dążenie w tym kierunku musi być uważane za akcyę godną pochwały, po myśli poglądu chrześcijańskiego i dla dobra powszechnego". Wtedy ziści się także gorące pragnienie całego narodu naszego: zjednoszenie wszystkich ziem polskich, proklamewane przez Radę Regencyjną i rozpocznie się nowa, szczęśliwsza epoka dziejów ludzkości. *Red.*

---

## Asceza alumnów józefińskiego seminaryum generalnego o. ł. we Lwowie.

(1783—1790).

(Dokończenie).

Obok nabożeństwa rannego odprawiało się w tymże kościele seminarzyckim w niedziele i święta nabożeństwo popołudniowe, składające się z katechezy i przepisanych modlitw. Pod nadzorem i kierunkiem przełożonego objaśniał najpierw zgromadzonemu ludowi jeden z alumnów roku praktycznego „nauki i obowiązki religii", po ukończonej zaś katechezie następowały publiczne modły i błogosławieństwo.

Dekrety cesarskie normujące nabożeństwa kościelne były — rzecz jasna — najdokładniej stosowane w kościele zakładowym, gdyż „odnośnie do nabożeństwa kościół seminarzycki miał być wzorem dla kościołów parafialnych"[1]).

Asysta w innych kościołach, nawet archikatedralnym była seminarzystom surowo zabroniona, bo mogliby przez to doznać przeszkody w studyach. Do tych funkcyj kościelnych mieli biskupi brać wikaryuszy katedralnych, gdyby tych zaś nie starczyło, zakonników. Tłumaczenie arcybiskupa Kickiego, że wikaryuszy do tego celu użyć nie może, gdyż jedni z nich zajęci byli duszpasterstwem, drudzy przeznaczeni byli do pulpitu, ani też zakonnikami zastąpić ich nie można dla bijącej w oczy różnicy stroju i że dlatego pożądaną byłaby asysta kleryków, nie odniosło skutku[2]).

W końcu przeznaczały ustawy niektóre dni w roku na „skupienie ducha", celem odnowienia a zarazem wzmocnienia u alumnów powołania kapłańskiego. Były to pewnego rodzaju rekollekcye. Przepisano na nie jeden dzień z początkiem roku szkolnego i trzy dni w Wielkim tygodniu. W dniu na początku roku odprawiali alumni rozmyślania o ważności stanu kapłańskiego, rozważali przepisy seminarzyckie, które im w tym dniu do wiadomości podawano, zastanawiali się, czy są w stanie dostosować się do nich. W Wielkim Tygodniu zaś byli obowiązani odświeżyć w pamięci mękę Chrystusową i w ten sposób godnie przygotować się na uroczystość Zmartwychwstania. Poza tymi dniami niedopuszczalne były „tak zwane ćwiczenia duchowne"[1]).

Na tem kończyły się środki, które przepisy podawały wychowankom seminaryum generalnego do uświęcenia się. Jak widzimy, józefinizm podobnie jak „oczyszczał" religię z „późniejszych naleciałości kościelnych", tak też oczyścił wychowanie ascetyczne ze wszystkich „niepotrzebnych dodatków", które Kościół w ciągu wieków podawał wiernym do doskonałości chrześcijańskiej dążącym. Pozostawił tylko najniezbędniejsze i te, o ile tylko mógł, zredukował do minimum. Widać z tego, że odnośnie do praktyk religijnych józefinizm przyjął w zupełności teorye janseniańskie. Według tych teoryj mieli się wyrabiać duchowo przyszli „słudzy religii".

Nie tylko wychowanie „sług religii", ale także „nauczycieli i kierowników ludu" było celem seminaryum generalnego. Nie wystarczało tedy, by alumni, w czasie pobytu w zakładzie, pracowali jedynie nad własnem udoskonaleniem, by mieli na uwadze tylko własną osobę, lecz wcześnie już mieli uświadomić sobie, że będą kiedyś brali czynny udział w życiu społecznem, i dlatego od pierwszej chwili wstąpienia do seminaryum mieli przyswajać sobie cnoty religijno-społeczne. „Należy to — czytamy w przepisach — do istotnego i pierwszorzędnego działu wychowania moralnego, jakie seminaryum ma dać alumnom, że nie mają się oni stać jedynie obserwatorami samych siebie, którzyby patrzyli wyłącznie na własne ja, na osobiste dobro, a nie uwzględniali i nie troszczyli się o dobro bliźnich ale że mają się wyrobić na dzielnych pracowników dla całej ludzkości, na czynnych duszpasterzy i że w tym kierunku mają już wcześnie uformować cały swój tryb życia"[2]). Mieli się zatem alumni ćwiczyć w seminaryum w cnotach „tak chrześcijańskiego, jakoteż społecznego życia".

Dwie takie „cnoty" wybijały się na pierwszy plan, a były niemi, tak proklamowane w wieku „oświecenia", filantropia i tolerancya.

Wiek XVIII., burząc dotychczasowy porządek, usiłował pojęcia i poglądy chrystyanizmu zastąpić nowym rodzajem wyobrażeń, jakoteż nowym poglądem na rzeczy. „Oświecony" rozum miał wejść w miejsce objawienia, — filantropia w miejsce etyki chrześcijańskiej, — tolerancya, raczej liberalizm religijny, w miejsce „fanatyzmu" kościelnego.

Jako dziecko wieku „oświecenia", przyjął józefinizm te hasła, nie w całości wprawdzie, ale w znacznej części. Chcąc pozostać bodaj z imienia katolickim, nie mógł on zupełnie odrzucić objawienia. Zatrzymał je, chociaż nie wahał się stosować doń racyonalistycznego tłumaczenia. Miał więc józefinizm pewne skrupuły co do pierwszego hasła, ale względem dwóch innych wyzbył się ich zupeł-

---

[1]) Tamże, str. 24.

[2]) Arch. Kons. lw. o. ł. Normalia 1783; kopie, T. I. str. 402.

[1]) Entwurf, str. 16.

[2]) Tamże str. 37.

nie, owszem stał się gorliwym Apostołem filantropii i tolerancyi.

W tych przedewszystkiem „cnotach“ mieli się ćwiczyć wychowankowie seminaryum generalnego. W jaki zaś sposób ćwiczenie to miało się odbywać, uczyły ustawy seminarzyckie.

Aby alumni stali się prawdziwymi filantropami, mieli zdać sobie jasno sprawę, iż są członkami tej wielkiej społeczności, której ludzkość na imię, a zarazem uświadomić sobie, że każda ich czynność, stosownie do tego, czy jest dobra czy zła, nie zostaje bez dodatniego lub ujemnego wpływu na tę społeczność. „Alumni muszą się przyzwyczaić — domagały się tego stanowczo ustawy — w tem tylko świetle obserwować siebie samych; to światło (a więc nie przykazania Boże i kościelne) ma im wskazywać, co czynić mają, a czego unikać“ [1]).

Światła tego miało im użyczyć seminaryum.

W tym celu obowiązany był przełożony, w dni wolne od wykładów uniwersyteckich, miewać dla wychowanków pierwszego roku odpowiednie odczyty, w których „miał przedstawić całą historyę stopniowego udoskonalania się życia społecznego człowieka, wykazać, jak ludzkość wskutek wynalazków i większej ilości i doskonalszych dzieł, bądź do przyjemności, bądź do utrzymania codziennego życia służących, z każdym wiekiem stawała się szczęśliwszą, aby słuchacze przyzwyczajali się nie patrzeć na siebie jakoby oderwanych od reszty ludzi, a przez to, by ich partykularne dobro zlewało się z dobrem bliźnich w jedną całość“. Następnie miał przełożony w wykładach zwracać uwagę alumnów na to, „że jest właśnie wolą Boga, naszego Stworzyciela, który taką już dał właściwość rodzajowi ludzkiemu, iż każda czynność pociąga za sobą dobry lub szkodliwy wpływ na poszczególne jednostki i na całą społeczność, byśmy dawali pierwszeństwo czynnościom sprowadzającym dobre skutki i te wtedy już, kiedy te dobre skutki mogą być tylko przypuszczalne“. W końcu żądały przepisy, by na tę naukę i płynące z niej zastosowanie kładziono jak największy nacisk, gdyż „stanowi ona charakterystyczny rys instytutu seminaryów generalnych, czem w pierwszym rzędzie wychowanie seminaryom generalnym właściwe różni się od wychowania klasztornego“.

Przy wykładach o stopniowem udoskonaleniu życia społecznego, miał przełożony głoszone teorye zastosowywać przedewszystkiem do c. k. krajów. Miał alumnom „kłaść na serce to wielkie szczęście, jakie ich spotkało, że mogą żyć w tem państwie“. Przez to — jak twierdziły ustawy — „obudzi się w nich i umocni patryotyzm, wleje się ducha wiernego poddanego, a państwu przysposobi się w przyszłych duszpasterzach dobrych obywateli“ [2]).

Jak widzimy zatem, wychowankowie seminaryum generalnego mieli fundować swoją etykę nie na przykazaniach Bożych, ale na „humanitaryzmie“, „filantropii“, która, nawiasem mówiąc, zwalniała swych wyznawców od miłości bliźniego, gdyż odnosiła się nie do jednostek, ale do całego rodzaju ludzkiego.

[1]) Tamże, str. 39.

[2]) Tamże, str. 39—40.

Wychowywało seminaryum generalne „filantropów“, konsekwentnie musiało starać się uczynić z alumnów „prawdziwych i umiarkowanych tolerantów“, gdyż „cnota“, tolerancyą zwana, była córą filantropii.

Seminarzyści mieli być dalecy „od tej nienawiści teologicznej, która wszystkie przeciwne nauki, często dlatego już, że nie zgadzają się z jej wywodami, okrzykuje jako złe, niebezpieczne, albo zupełnie heretyckie, przez co tylko od zgody odstrasza... Prawdziwy, umiarkowany tolerant nie widzi bowiem w ludziach już dla tego samego, że przyznają się do innego systemu religijnego, wrogów Boga, prawdy i cnoty; on nie czuje do nich wstrętu, nie prześladuje i nie potępia ich. Ale kocha ich zawsze jako swoich braci, jako stworzenia jednego i tego samego Boga, żałuje tylko, że błąd za prawdę biorą“ [1]).

Na pierwszy rzut oka ustęp ten z przepisów seminarzyckich brzmi bardzo pięknie. Możnaby się nań nawet pisać, gdyby nie krył w sobie indyferentyzmu religijnego. Lecz niestety krył go. Miał bowiem na celu wychować takich kapłanów, którzyby później w swej pracy duszpasterskiej, bez żadnych skrupułów, „jak najdokładniej... nie zmieniając w niczem ani jednego punktu“ — jak to surowo swemu duchowieństwu nakazał arcybiskup Kicki [2]) — wypełniali postanowienia dekretu tolerancyjnego Józefa II. z 16 marca 1782. r. Dekret zaś ten nakazywał duchowieństwu katolickiemu między innemi, w braku pastora, chrzcić, błogosławić małżeństwa i grzebać innowierców, według miejscowego rytuału katolickiego, z tem tylko zastrzeżeniem, by przy pogrzebach nie błogosławiono grobu i nie odczytywano kollekty.

Mając ten cel przed sobą, przepisy pod pozorem tolerancyi chrześcijańskiej głosiły tolerancyę dogmatyczną, którą Kościół katolicki zawsze potępiał i potępia, podczas gdy sam uczył i uczy prawdziwej tolerancyi chrześcijańskiej.

Dziwny splot surowego jansenizmu z liberalizmem religijnym wieku „oświecenia“ stanowił zatem podstawę duchowego wyrobienia alumnów seminaryum generalnego.

Takie wychowanie religijne mogło im wystarczyć jako przyszłym sługom „oczyszczonej religii“ [3]), nigdy jednak jako sługom Kościoła katolickiego. Ale tego nie żądał józefinizm. Czytamy bowiem w przepisach o „religii miłości“, „religii Jezusa“, „religii chrześcijańskiej“, nigdy jednak o religii katolickiej. *X. M. Tarnawski.*

# Nasze dziwactwa. — „Nosce te ipsum“!

(Dokończenie)

Ale zanim to nastąpi, zwróćmy sami na to uwagę i chrońmy się dziwactw, z którymi rozstać się potem przyszłoby nam może trudno.

Przechodzę do dziwactw w śpiewie kościelnym. Śpiew jest darym Bożym — nie każdy ksiądz posiada go w równym stopniu. Są księża, nawet wysocy dygnitarze, któ-

[1]) Tamże, str. 53. n.

[2]) Ferdinandus Onuphrius Kitki-Kicki universo clero... 4 kwie. 1783 r.

[3]) Entwurf, str. 7.

rzy sami o swym głosie wyrażają się, że jest nieboski i tacy zwykle używają głosu swego umiarkowanie. Jest to u nich cnota z konieczności. Ci, których Pan Bóg obdarzył lepszym głosem, skłonni są nierzadko do nadużywania go w kościele, zwłaszcza gdy im brak ucha muzykalnego. Sądzą, że im głośniej śpiewają, tem ładniej i „drą“ się niemiłosiernie, choć kościół nie duży, czasami tak, że aż uszy bolą słuchaczy. Czyż to nie jest dziwactwo? Śpiew trzeba modulować stosownie do czasu i miejsca, inaczej słuchać go niemiło i do chwały Bożej nie domaga. Słusznie w starych kancyonałach umieszczano na wstępie ostrzeżenie w łacińskich heksametrach, aby śpiewać umiarkowanie: „*nam dedecet resonare immani templa boatu*“!

O dziwactwach w mówieniu kazań pisano już dużo w czasopismach kościelnych, ale jakoś nie zdołano ich dotąd wytępić.

Ludzie umierają — ale ich dziwactwa nie, gdyż młodsze pokolenia wchodzą w ślady dawniejszych, konserwują niejedno, co należałoby usunąć, a nawet wymyślają nowe ekscentryczności. Chodzi o to, aby te ułomności zredukować, o ile można, do minimum.

Jednem z głównych dziwactw w głoszeniu kazań jest znów nadużywanie głosu na ambonie, „darcie się“, krzyczenie zamiast mówienia. Niejeden ksiądz zmienia nawet zupełnie głos na ambonie: mówi głosem płaczliwym, kwili żałośnie, albo podnosi głos zbyt wysoko — zamiast mówić głosem swoim, naturalnym, tylko silniejszym — w miarę objętości kościoła i liczby słuchaczów.

Tak samo dziwactwem jest prawienie kazań zbyt długich w tem mylnem przekonaniu, że one są skuteczniejsze. Są księża, nawet renomowani mówcy, którzy nie rzadko mówią na ambonie całą godzinę, a niektórzy nawet półtorej. Byłem raz na takim półtoragodzinnem kazaniu i to w dodatku jako sumista, a więc przechodziłem podwójne męki. Kaznodzieja rozweselał wprawdzie i urozmaicał kazanie śpiewem i anegdotami, ale przecie było to kapitalne dziwactwo!

O innych dziwactwach na ambonie, jako to o wysłowieniu rubasznem, o poruszaniu tematów nie odpowiednich, o tworzeniu nowej niefortunnej egzegezy w tłómaczeniu perykop ewangelicznych[1]), nie chcę pisać, bo bym rzecz rozszerzył zanadto, a dziwaków nie przekonał, zwłaszcza, że umieją oni ubierać swe dziwactwa w formę zdrowego rozsądku i takie dziwactwo jest najniebezpieczniejsze.

Około konfesyonału gromadzi się także niemało naszych dziwactw, które tem są niebezpieczniejsze, że dotykają najdelikatniejszej strony duszpasterskiej, bo sumień ludzkich. Jeden wyznacza na słuchanie spowiedzi tylko pewne dni w tygodniu, jak gdyby ludzie tylko w pewne dni grzeszyli, drugi umieszcza konfesyonał w miejscu zbyt widocznem przy samem wejściu do zakrystyi, bo mu z tem dogodniej, zwłaszcza „widniej mu czytać brewiarz w konfesyonale“. Inny spowiada głośno i dziwi się, że penitenci od niego uciekają do wikarego. Inny ogłasza na murze kościelnym, że spowiadać się można codziennie o tej a tej godzinie, tymczasem nie pilnuje tej godziny, a nawet tygodniami absentuje się z parafii, nie zostawiwszy zastępcy za siebie. Tym, o których słyszał, że źle o nim mówili, odmawia wprost spowiedzi!

[1]) n. p. że w przypowieści o dobrym pasterzu przez najemników należy rozumieć zakonników! (autent.).

A cóż dopiero mówić o dziwactwach, popełnianych bezpośrednio przy słuchaniu spowiedzi? One są tem szkodliwsze i gorsze, że usuwają się z pod kontroli publicznej, że osłonione są *sigillo confessionis* i dostają się do wiadomości innych księży także prawie tylko in confessionali po to, aby ich narażać na męczarnie w uspokajaniu skrzywionych i zawikłanych sumień penitentów.

I znowu brakłoby miejsca, gdybym chciał przytaczać liczne przykłady z praktyki na potwierdzenie słów powyższych, poprzestanę na jednym. Jakiś dziwak wyczytał w teologii moralnej, że przyczyną wielu błędów i upadków — zwłaszcza u skrupulatów — może być ich nerwowość, którą trzeba usunąć środkami lekarskimi i na tej podstawie dziewczętom wiejskim, oskarżającym się o częste nieposłuszeństwo względem rodziców, nakazuje iść do lekarza i leczyć się na nerwy!

I jakiż z tego skutek? Naraża je na koszta i niebezpieczeństwa moralne, połączone z tego rodzaju badaniami, na kuracyę zwykle bezowocną, boć leczyć nerwowość, gdyby ona nawet rzeczywiście istniała w chorobliwym stopniu, nie jest wcale rzeczą łatwą i pierwszy lepszy lekarz tego nie potrafi. Nie każda też skorą jest do spełnienia tego rodzaju polecenia spowiednika i stąd powstaje tylko zamieszanie w sumieniu u wielu jednostek.

W dziwactwach spowiedników mają też zazwyczaj swe źródło dziwactwa penitentów, zwłaszcza penitentek, znane dobrze starszym księżom pod nazwą fałszywej dewocyi, które są plagą konfesyonałów w niektórych okolicach, zwłaszcza po miastach.

Zakrystya jest także polem popisów dla księdza dziwaka i tam zwykle najlepiej dziwactwo jego się odzwierciedla. A więc zobaczysz tam mnóstwo zakazów i nakazów wypisanych lub drukowanych po to, aby zostały na papierze, boć często są wprost niewykonalne. Tak n. p. w jednem znanem miejscu leczniczem w Galicyi znajduję w zakrystyi oprócz wysokiej taksy za odprawianie Mszy św. także surowy zakaz, że bez pozwolenia proboszcza nie wolno żadnemu księdzu funkcyi kościelnych spełniać, ani spowiadać. ani komunikować. Tymczasem — pomijając meritum zakazu — ów proboszcz tygodniami nie rezyduje w parafii, ale gdzieś dalej sobie wyjeżdża, zostawiając opiekę nad parafią okolicznym księżom. Niema kto wysłuchać spowiedzi, nie ma kto udzielić Komunii św., nie ma kto ochrzcić niemowląt przyniesionych do kościoła, zaopatrzyć chorych — ba nawet odprawić w niedzielę sumy i wygłosić kazania. I po cóż ogłaszać tak surowe przepisy w zakrystyi, jeżeli nad ich wykonaniem mają czuwać okoliczni proboszczowie, a miejscowy od spełnienia obowiązków swych całkiem się usuwa? Chyba dla większego kompromitowania siebie i lepszego zadokumentowania swego dziwactwa.

Msza św. powinnaby w szczególniejszy sposób być wolną od dziwactw ze względu na swój szczytny charakter. Ale i ona musi nieraz świadczyć o dziwactwach tych, co ją odprawiają.

Jeden proboszcz odprawia ją za wcześnie, drugi za późno, jeden ksiądz za wolno, drugi za prędko. Jeden przesadza w inklinacyach i zachowaniu rubryk, drugi znów całkiem je lekceważy. Tak n. p. można spotkać młodszych księży (starym, zniedołężniałym trzeba dużo darować), którzy kanon recytują głośno, nawet verba Consecrationis, albo w czasie Mszy św. wymachują niemiłosiernie rękami i rozciągają je zbyt szeroko i wysoko. Trafia się, że ksiądz w czasie Mszy

w. nawet po Podniesieniu obraca się na kościół i wydaje jakieś zakazy lub nakazy, n. p. zabrania śpiewać pieśni jakiejś, choć nie jest to uzasadnione żadną nagłością i koniecznością. To samo zdarza się przy procesyi z Najśw. Sakramentem.

Także chwali się staranność w puryfikacyi kielicha i pateny po Komunii św., ale żeby aż językiem wylizywać patenę, to przecie jest dziwactwo, a i to widziałem raz na własne oczy za granicą.

Wolno też proboszczowi żądać od przyjezdnych księży zapłaty za wino i używanie przyborów mszalnych, zwłaszcza, gdy księży bywa dużo, a drożyzna wielka, jak obecnie, ale żeby nakazywać księżom przejezdnym — nawet miejscowemu katechecie — a więc współpracownikowi, aby każdy przynosił ze sobą wino do Mszy św., to przecie jest dziwactwo. Boć łatwiej proboszczowi nabyć większą ilość czystego wina niż turyście, kuracyuszowi lub katechecie, zwłaszcza jeżeli parafia graniczy z Węgrami.

Kto zresztą każe dziś przynosić z sobą wino do Mszy św. księżom, ten jutro, tym samym tytułem, każe im nosić ze sobą świece, bo o nie też trudno, a pojutrze może i humerał i albę, bo o nie także jest trudno, zwłaszcza jeżeli proboszcz drogo płaci za pranie bielizny, a nie żąda od miejscowych ubogich zakonnic, aby mu to czyniły bezpłatnie, co także się zdarza i jest grubem, co najmniej, dziwactwem.

Dziwactwa wciskają się także w szafarstwo świętych Sakramentów, a im świętszy Sakrament, tem bardziej razi wszelkie dziwactwo z szafarstwem jego połączone. Cóż uroczystszego nad udzielanie Wiatyku świętego? Ile skupienia i powagi powinien mieć kapłan w tej chwili, kiedy niesie lub wiezie Pana nad pany do łoża ciężko chorej lub umierającej owieczki, Krwią Zbawiciela odkupionej i łaknącej Go w tej chwili jako posiłku na drogę wieczności. Można i trzeba wymagać od wiernych, aby tego Gościa niebieskiego otoczyli w tej chwili czcią należną, aby mieszkanie chorego uprzątnęli odpowiednio i przewietrzyli, ale nie trzeba znów w tym względzie przesadzać. Pewien proboszcz wiejski przybył z Wiatykiem świętym do chorego, a zastawszy izbę nie przewietrzoną należycie, kazał woźnicy zawrócić, obwieść się kawałek sankami w poblizkiej okolicy i dopiero po tej przejażdżce zajechał napowrót do łoża chorego. Można sobie wyobrazić, ile to dziwactwo wywołało szemrań u ludności miejscowej, ile niepokoju u chorego.

Zwyczajna Komunia święta, zwłaszcza częstsza, spotyka się także z różnemi dziwactwami ze strony księży. Są dziwacy, którzy dekretu Piusa X. o częstej i codziennej Komunii św. nie aprobowali i nie aprobują, nawet odnośnie do zakonnic miejscowych i zamiast ułatwiać, utrudniają tę arcyzbawienną praktykę. Inni zwalczają ją ubocznie, ograniczając udzielanie Komunii św. tylko do pewnych chwil i pór czasu. Tak np. pewien proboszcz pozwala tylko dwukrotnie na dzień rozdzielać wiernym Komunię św., choć jest to parafia na wpół miejska, zwłaszcza w lecie, gdy do niej napływa wielu letników i kuracyuszów. Osoby pobożne, przybyłe z większego miasta, gdzie pod tym względem ułatwienia posuwa się bardzo daleko, nie mogą wprost pojąć takiej dziwacznej praktyki i wcale się nią nie budują.

Szkoła przedstawia się jako teren najmniej podatny do dziwactw księdza, gdyż tam spotkają się wnet z ostrą repliką ze strony zarządu szkoły, nauczycieli, a szczególnie samych uczniów, którzy, choć niedojrzali, na dziwactwach wnet się poznają i reagować na nie umieją. A jednak i tam one się zdarzają w rozmaitej postaci. Zwłaszcza niebezpieczne są dziwactwa „naukowe" u niektórych katechetów szkół średnich, którzy naukę religii traktują po uniwersytecku i zamiast trzymać się planu i podręcznika, biorą przedmiot zbyt obszernie, a tem samem zbyt fragmentarycznie, bo ilość godzin szkolnych pozwoli im zaledwie na przerobienie cząstki materyału naukowego. Nie obejdzie się przytem bez spisywania wykładu, a nawet czasem dyktowania niektórych rzeczy, co oczywiście i z przepisami jest niezgodne i pożytku mało przynosi.

Innego rodzaju dziwactwem bywa u jednych katechetów dawanie cenzur samych prawie bardzo dobrych z wykluczeniem „dwójek", u innych znów (nawet ludowych lub wydziałowych) przeciwnie jakaś przesadna surowość, częste dwójki, poprawki, nawet i „single". A przecież, jeżeli gdzie, to tu także wskazana jest *media via aurea*.

Są też katecheci nawet i po większych miastach, którzy do kół katechetycznych należeć nie chcą, na zebrania wspólne nigdy nie przychodzą, nawet gdy chodzi o wyznaczenie terminów spowiedzi szkolnych, uważając to wszystko za „głupstwo". Następstwem tego bywa, że wśród katechetów brak jest jednolitości w postępowaniu z młodzieżą, że nawet spowiedzi szkolne trudno porządnie urządzać, gdyż wskutek takich dziwactw, czasem kilka szkół ma spowiedź tego samego dnia i o tej samej godzinie.

Skutkiem tego bywa także, że w tem samem mieście w jednych szkołach obowiązują uczniów kartki przy spowiedzi, w innych mogą się spowiadać bez kartek.

Jeszcze niebezpieczniejsze u katechetów są dziwactwa liturgiczno-dogmatyczne, w których rekord osiągnął chyba jeden z wiejskich katechetów w Galicyi. Ksiądz ten, zresztą bardzo przykładny, nabrał skądś dziwacznego przekonania, że modlić się powinniśmy tylko w jednym z trzech języków, jakie widniały na krzyżu Zbawiciela na Golgocie. To są według niego jedynie języki liturgiczne. Pacierz zatem i w ogóle modlitwy powinna młodzież szkolna odmawiać po łacinie, a nie po polsku! Tak głosi na ambonie, tak też ćwiczy swych uczniów i uczenice, mimo perswazyi ze strony proboszcza i dziekana!

Doprawdy, trudno uwierzyć, aby tego rodzaju dziwactwo było tolerowane, a jednak tak jest.

Co się tyczy dziwactw naszych w towarzystwie, o tych była już wzmianka w „Gazecie Kościelnej" i powtarzać tutaj nie będę tego, co tam było podniesione. Istnieją osobne dziełka w tym względzie, częścią oryginalne, częścią przerobione z francuskiego [1]), gdzie można znaleźć szczegółowe przepisy i wskazówski, jak ksiądz powinien się zachować w towarzystwie, jeżeli chce uchodzić za człowieka inteligentnego i dobrze wychowanego. Niestety jednak są księża, którzy takie rzeczy umyślnie ignorują, którzy ze swych dziwactw i różnych nawyczek robią sobie niejako sport i zdaje im się, że być oryginałem to jest właśnie tężyzna, to charakter, to wyższość po nad tłumy!

I to właśnie złudzenie jest najniebezpieczniejsze. Jakże tu takiego przekonać, jak poprawić?

*Principiis obsta, sero medicina paratur!* — trzeba zawołać ze starym rzymskim poetą także odnośnie do naszych

---

[1]) X. Biskupa Pelczara, X. Szcześniaka, X. Bojarskiego i inne.

dziwactw. Stan nasz jest zbyt święty i wysoki, abyśmy sobie mogli pozwalać na ośmieszanie go w oczach świeckich. Ludźmi jesteśmy ułomnymi, to prawda, ale pamiętajmy, że choć *humanum est errare, tamen insipientis est in errore perseverare!*

Niechże więc i dziwactwa nasze topnieją i znikają w świetle rozwagi i zastanowienia, w świetle rad i wskazówek życzliwych nam ludzi, abyśmy coraz byli bliżsi tego pierwowzoru, który nam wskazał sam nasz Mistrz Boski: *„Estote perfecti, sicut Pater vester coelestis perfectus est“!*

*Jeden z księży.*

---

# Hipoteza „psychologiczna“ o powstaniu religii [1]).

Święty Marek opowiada w swej Ewangelii [2]) o wrażeniu, jakie zrobiła na głębiej myślącym Żydzie wyborna odpowiedź Chrystusa Pana w sprawie małżeństwa po śmierci, tak, że „zbliżył się i zapytał Go: które przykazanie jest wśród wszystkich pierwsze?“ Zbawiciel wymienia mu dwa przykazania miłości Boga i bliźniego. „I rzekł Mu uczony: Dobrze, Mistrzu! Prawdę powiedziałeś“ i powtarza te przykazania. „Jezus zaś, widząc, że rozumnie odpowiedział, rzekł doń: Nie jesteś daleki od Królestwa bożego“. Spotkała go więc z ust Zbawiciela pochwała.

W Królestwie bożem ma panować miłość Boga i bliźniego. Kto się przejmie tą miłością, ten się stanie członkiem, obywatelem państwa bożego. A jak pojmować to Królestwo boże i miłość w niem panującą? Odpowiedzi na to pytanie mamy tyle, ile było prób ze strony wiedzy ludzkiej, by objaśnić to „coś“, tę tajemniczą siłę, która na kształt wszech obobecnej duszy, tworzy Królestwo boże między ludźmi, rozwija je i udoskonala. Liczba prób ze strony filozofii przechodzi cyfrę 150, a *wszystkie dotyczą istoty religii.*

Wyraz „religia“ oznacza związek między stworzeniem a Stwórcą. W znaczeniu podmiotowem związek ten można nazwać „religijnością“ t. zn. ukształtowaniem Królestwa bożego w człowieku. Jego osią zasadniczym i faktycznym dogmatem jest prawdziwie pobożne przekonanie o obowiązku miłości Boga, poczucie synostwa bożego (religiositas-fides, qua credimus). W znaczeniu przedmiotowem związek między człowiekiem a Bogiem nazywamy właściwą religią. Jest to wyrażenie na zewnątrz wewnętrznych stanów duszy, jest to dalej cała konstytucya Królestwa bożego poza człowiekiem (religio-fides, quam credimus).

Na zupełną budowę Królestwa bożego muszą się religia i religijność połączyć i zharmonizować.

Nowsza filozofia religii bada powstanie i istotę religii, jej stosunek do różnych dążeń ludzkości, jej stosunek do całej kultury. W tym celu bada różne formy religii, jakie się z biegiem czasu pojawiły, porównywa je i stara się znaleźć jedną zasadniczą formę. Metodyczne badanie rozciągnięto na objawy poczucia religijnego, na psychologię, etykę, estetykę religii itp.

Po nad wszystkiemi jednak pytaniami góruje jedno: Jak powstają religijne wyobrażenia, jak pojęcie Bóstwa w umyśle człowieka? Jaka zdolność duszy rodzi te pojęcia, jaka siła, jakie wpływy?

Mniemano dawniej, że pojęcia religijne wynaleźli sami ludzie. Okazało się to fałszem psychologicznym i historycznym. Przypuszczeniom o tyranii panujących i narzucaniu religii przez kapłanów, już stary Homer kłam zadał w słowach: „Πάντες δε θεων χατέουσ' ἄνθρωποι“ — „wszyscy śmiertelni odczuwają potrzebę bogów“ [1]). Religia nie może być wynalazkiem ludzkim, nie może się opierać na fałszu i kłamstwie i dlatego także, że nie da się usunąć z powierzchni ziemi żadnymi ludzkimi środkami, ani gwałtem, ani podstępem, ani nienawiścią, ani żadnym wynalazkiem.

Pozostawiamy na uboczu uczucia religijne, popędy woli, pomijamy wszystko to, coby można nazwać wcieleniem religijnego zmysłu, a ograniczamy pytanie tylko do powstania wyobrażeń i pojęć religijnych.

Zagadkę tę stara się rozwiązać *Wilhelm Wundt*, któremu się zdaje, że odnalazł nowy klucz do prastarej tajemnicy. „Ostatnim źródłem wszystkich mitów, wszystkich religijnych uczuć i wyobrażeń jest indywidualna czynność wyobraźni“ — zapewnia Wundt [2]). „Te tylko twory posiadają charakter tworów wyobraźni, które się rozwinęły w warunkach wspólnego pożycia. W micie łączy fantazya ludu przeżycia rzeczywistości. W religii czerpie z treści tych przeżyć pojęcia o istocie i celu ludzkiego bytu“.. Tak opiewa hipoteza Wundta t. zw. „Aktualitäts- und Evolution Hypothese“. Według tej hipotezy więc wyobraźnia jest ostatecznem źródłem religii ze wszystkimi jej objawami.

Hipoteza ta nie wytrzymuje krytyki z różnych powodów; tu jednak nas zajmuje tylko pytanie, czy to przecenianie działalności wyobraźni przy powstaniu pierwszych pojęć religijnych jest uprawnione, czy rzeczywiście wyobraźnia jest ich źródłem. Zanim na to pytanie odpowiemy, musimy poznać jeszcze dwóch najwybitniejszych przedstawiciell nowego kierunku psychologicznej filozofii religii, a są nimi: *Ludwik Feuerbach i Albert Lange.*

Według Feuerbacha pojęcia religijne powstają wskutek moralnych wypaczeń rodzaju ludzkiego. Wypaczenia te zarażają wyobraźnię, prowadzą na bezdroża halucynacyi, wprawiają w stan gorączkowy.

Lange przeciwnie twierdzi, że religię wytwarza zdrowa wyobraźnia, dzięki naturalnemu twórczemu popędowi ducha ludzkiego, który skłania do snucia spekulatywnych ideałów etycznych, estetycznych i wogóle religijnych.

Podobne zdania wypowiada wielu innych, wychodząc z różnych stanowisk. Materyalista uważa religię za coś anormalnego, szkodliwego: dla idealisty kierunku neokantystów, religia nie posiada rzeczywistej, pozytywnej

---

[1]) W artykule tym chcę zapoznać Czcig. Czytelników z jedną z nowszych hipotez na podstawie pracy Dra. K. Braiga, profesora dogmatyki we Fryburgu, pt. „Modernstes Christentum und moderne Religionspsychologie“ — Fryburg w. Br. 1907, 2 wyd.

[2]) XII, 28—34.

[1]) Odysoja 3, 48.

[2]) „Völkerpsychologie.. t. II. Mythus und Religion, 1 część str. 3.

wartości, ale jest tylko jakąś normą, jakimś regulatywem życia społecznego. Jedni widzą w religii zgubny zbieg nieszczęsnych okoliczności i tego, co człowieka hańbi i poniża; drudzy upatrują w niej jakiś transcendentalny pierwiastek, który człowieka podnosi i uszczęśliwia. Nie brak i takich, którzy twierdzą, że człowiek religijny z obydwóch pierwiastków coś bierze w swoich poglądach.

*W tem godzą się wszyscy, że odnoszą początek religii do wyobraźni.* Trzeba więc zbadać tę wyobraźnię, jej istotę i prawa, jeżeli chcemy rozwiązać zagadkę powstania religii.

Wilhelm Wundt zrozumiał to zadanie. Jako główny przedstawiciel psychologii eksperymentalnej należy do rzędu tych fizyologów, którzy (jak Jan Müller i Herman Helmholz) na podstawie obserwacyi starają się zadosyćuczynić żądaniom Kanta i przy pomocy empiryi krytykują nasze władze poznania.

Jeżeli wyobraźnia rzeczywiście wytwarza pojęcia religijne, to sposób tej fabrykacyi można rozpoznać, jeżeli się zna metodę psychologii doświadczalnej. Hipoteza, że wyobraźnia jest źródłem religii, ma pozory prawdopodobieństwa — trzebaby ją jednak udowodnić. Takie bowiem zdanie: „Ponieważ wiem, jak wyobraźnia ludzka pracuje, przeto wiem także, w jaki sposób wytwarza pojęcia religijne", nie dowodzi niczego. Przekonamy się, że hipoteza Wundta i towarzyszy o „mityczno-twórczej apercepcyi", jak nazywa czynność wyobraźni, wywołującą pojęcia religijne, zawiera w sobie: „petitio principii".

Rzecz to jasna, na którą wszyscy się godzą, że wiedza filozoficzna powinna wychodzić z doświadczenia, z indukcyi; nic w tem niema nowego od czasów scholastyki, której zasadniczy aksyomat brzmi: „Nihil est in intellectu, quod non prius fuerit in sensu" i „Omnis cogitatio incipit a sensu" [1]).

Lecz scholastyka cała, a szczególnie nauka jej o poznaniu jest dla Wundta, jak dla wielu nowszych filozofów „terra ignota". Dowodzi tego już rozdział z dzieła Wundta pt.: „Einleitung in die Philosophie" p. n.: „Philosophie der Scholastik" (1 wyd. 1901). Oto czytamy tam: „Tertulian w swoim czasie, przy końcu 2 w. dosadnie wyraził dążność filozofii kościelnej w słowach: „Credo, quia absurdum est". Wundt lubi rozpisywać się szeroko, nie szczędząc wyrazów obcych i dlatego nieraz trudno zrozumieć, o co mu chodzi. Obecnie zastanawiamy się nad tem, co on rozumie przez „mitologiczną" wyobraźnię, w której ma być źródło pojęć religijnych. Mitologiczna wyobraźnia — pisze Wundt [2]) — nie jest to jakaś specyficzna siła duszy, która niegdyś istniała, a potem bezpowrotnie przepadła; w istocie ona się pokrywa z samą wyobraźnią! W mitologicznej wyobraźni można zauważyć początek działania ludzkiej fantazyi, która jest formalnym wyrazem siły duchowej. W wyobraźni ma swą siedzibę funkcya ducha, przy której pomocy umysł przekształca różne wrażenia na przedmioty, tym wrażeniom odpowiednie, np. wrażenie trwogi w jakiś przedmiot, wzbudzający trwogę, uczucie szlachetne w postać boską i tp. Można powiedzieć — twierdzi dalej Wundt — że wyobraźnia jest jedną z tych funkcyi, przez które podmiot przechodzi na przedmiot, przez które się człowiek niejako wczuwa w przedmiot wyobrażony.

Religijnemi nazywają się te wyobrażenia i uczucia, które się odnoszą do bytu idealnego, odpowiadającego życzeniom i pragnieniom ludzkiego umysłu i serca; są to moralno-estetyczne ideały, przedstawiające się w konkretnej formie, jako odrębny świat przedmiotowy, z którym człowiek w ustawicznym pozostaje związku.

Jakże się jednak dokonywa wcielenie ideałów i myśli, które wybiegają poza nasze doświadczenie?

Możemy sobie to uzmysłowić na micie, skombinowanym podług prastarej legendy rosyjskiej. Na tym micie pragnie Wundt pokazać, jak to ideał religijny, który jest celem naszych dążności, może się uzmysłowić w moralnie doskonałej postaci, którą wyobraźnia sama wytwarza i przed którą następnie uniża się jako przed bóstwem.

Kiedy ziemia była jeszcze dziką pustynią, a na tej pustyni był ogród, żyło tam samotne dziewczę. Zdawało się onemu dziecku, że ono samo i jego otoczenie istnieje od wieków; nie myślało nigdy, by mogło być inaczej. Z ludźmi, których widziało, mogło rozmawiać, tak samo ze zwierzętami i roślinami, z szumiącymi potokami, z słodkimi zefirami, z goniącymi po niebie obłoczkami, z świecącem słońcem, z poranną i wieczorną zorzą, z wyiskrzonemi gwiazdami. Nazywała się Ewą, bo tak ją inni nazywali. Głosy i ruchy rzeczy mówiły Ewusi wszystko, co tylko wiedzieć chciała. Gdy widziała rzecz jakąś, leżącą bez ruchu, to sądziła, że ona tylko spi, bo zresztą dokoła widziała tryskające życie. Jedną tylko rzecz odróżniała w swem otoczeniu: co się w oddali poruszało, co wydawało głos w sposób niewidzialny, przed tem truchlała, co było blizko niej, czego mogła się dotknąć, to jej było miłem. — Szczególniej ceniła pewnego starego człowieka, który był zawsze w pobliżu niej. Zdawało się jej, że ten człowiek wszystko wie, że jest bardzo mądrym, że się troszczy o wszystko. Często przesiadywali oboje wieczorami na kamieniu pod kwitnącym krzewem róży. Nazywała go ojcem.

Wiele, bardzo wiele dni upłynęło w spokoju. Razu jednego człowiek ów stary ułożył się na kamieniu do snu — często bowiem tak sypiał pod gołem niebem — zasnął bardzo twardo i nie zbudził się więcej. Kiedy nazajutrz Ewa zbudziła się w domu, po długiem czekaniu zaczęła się dziwić, że starzec nie wraca. — Idzie więc pod krzak róży, patrzy a on jeszcze spi, twarzą ku niebu odwrócony; bierze go za rękę, a ręka zimna; oczy wprawdzie otwarte, ale połysk ich jakiś dziwny, aż strach oblatuje dziewczę, cały widok starca przejmujący grozą — on nie żyje. Ona się na tem nie poznała, bo nie wiedziała, czem jest śmierć. (Dok. nast.) *X. Dr. Jan Czuj.*

# KRONIKA KOŚCIELNA.

**Portret J. E. X. Arcybiskupa Bilczewskiego w auli uniwersyteckiej.** Niedawno zawieszono w auli uniwersytetu lwowskiego portret olbrzymi J. E. X. Arcyb. Bilczewskiego jako byłego rektora tegoż uniwersytetu, pendzla znanego malarza lwowskiego Włodzimierza Błockiego.

[1]) Summa theol. 1. q 12. a 13... [2]) Dz. c. II. 1, 3 str. 579.

Portret, jak każde dzieło artystyczne, wywołał wielką dyskusyę za i przeciw. Jedni chwalą, drudzy ganią, jednym się podoba, drugim nie podoba. Nic dziwnego, bo w takich sprawach subjektywizm odrywa dziś wielką rolę.

Że portret nie odpowiedział zupełnie życzeniom komitetu, przyczyna po części leży w tem, iż jest za wielki, a potem źle umieszczony w sali. Pokrywa on całkowicie ścianę od sufitu do posadzki między dwoma oknami od południa, przez które cała masa światła wpada do pokoju, co sprawia, że portretu dokładnie widzieć nie można.

Portret przedstawiałby się znacznie lepiej, gdyby był umieszczony w olbrzymiej sali, gdyż sam jest olbrzymi. Stosowną dla niego byłaby n. p. aula uniwersytecka we Wiedniu, w Monachium albo amfiteatr Richelieu'go w Sorbonie paryskiej. Nadto należałoby go umieścić na ścianie, która nie jest ani między oknami, ani naprzeciw okien, a przytem tak, aby między widzem a obrazem była znaczna odległość. Portret bowiem impresyonistycznie malowany jedynie z pewnej, czasem znacznej odległości powinien być oglądany, jeśli ma robić wrażenie. Ta odległość zależy od jakości oczu. Dalekowidz musi się bardziej oddalić, krótkowidz musi z blizka obraz oglądać.

Tych wszystkich warunków brak obecnemu zawieszeniu portretu w auli uniwersyteckiej. Naprzód widz stoi naprzeciw światła, wpadającego przez cały szereg okien. Oko tedy jest zanadto olśnione. Powtóre obraz wisi za blizko. Sala bowiem jest zbyt wązka.

Obraz znacznie lepsze czyniłby wrażenie, gdyby go się powiesiło na ścianie krótszej wschodniej wtyle za trybuną i fotelami, tam, gdzie obecnie wiszą portrety 2 cesarzów. I to lepsze miejsce byłoby po lewej ręce w stronie dalszej od okna.

Ponieważ jednakże cesarzów owych ruszyć nie można, bo zasiedzieli swe miejsca, przeto nie zostawało nic innego jak zawiesić portret na tem miejscu, gdzie obecnie wisi. Dla zmniejszenia jednak zbytecznego blasku światła, należałoby 2 sąsiednie okna, między któremi portret jest zawieszony, — zasłonić stale cieniutkiemi tiulowemi firankami, jak to się praktykuje w galeryach obrazów, gdzie jest górne światło, ale przyćmione nieco zapomocą rozpiętej nad obrazami cieniutkiej, poziomo w górze zawieszonej zasłony.

Choćby jednak portret najlepiej wisiał, nie wszystkim będzie się podobał. Przedewszystkiem dlatego, że jest impresyonistycznie malowany. Są między starszą zwłaszcza generacyą tacy, którzy nigdy do impresyonizmu nie dadzą się przekonać. Nazywają go oni paćkaniną, niedołęstwem i dają mu inne tego rodzaju epitety. Nic dziwnego, są to ludzie wychowani wśród całkiem innych warunków.

Portrety za ich czasów malowane były inaczej, nie w pełnem świetle i na wolnem powietrzu i w pewnej chwili oświetlenia i atmosfery, lecz w pokoju przy zamkniętych oknach z usiłowaniem oddania jak najwierniejszego rysów portretowanej osoby, jej ubrania etc. Zwykle wychodzą te portrety brunatno na jeszcze bardziej brunatnem tle, czyli jak się to dziś mówi — na brunatnym sosie i przedstawiają osobę, jaką ona jest sama w sobie bez względu na otaczające ją światło i oblewającą ją atmosferę.

Całkiem inaczej pojmuje portret impresyonista. Przyzwyczajony malować en plein air (stąd kierunek zwie się też „pleneryzmem“) tj. na wolnem, nie zamkniętem powietrzu, usiłuje on oddać przedmiot malowany w pewnej chwili oświetlenia i atmosfery. Musi się tedy spieszyć ze swoją robotą, bo w następnej chwili już inne będzie oświetlenie i inna może być atmosfera. Ponieważ pospiech jest konieczny, używa skróconego rysunku, którego nauczyli Europejczyków Japończycy, to też obraz zblizka oglądany wygląda jakby niewykończony, jak szkic.

I nietyle chodzi impresyoniście o osoby lub rzeczy, ile raczej o światło i powietrze. On maluje głównie światło i powietrze, („Luft u. Licht-Malerei“ nazywają to Niemcy), a osoby czy rzeczy są tylko przedmiotem, po którym ślizga się światło, łamią się promienie, igrają refleksy świetlne. I nie jest to bynajmniej łatwa rzecz — to malowanie światła i powietrza, światła przesyconego różnemi barwami i powietrza napojonego światłem. Stąd u impresyonistów takie wszystko fioletowe lub niebieskawe, bo w istocie przy pogodnem niebie światło słoneczne odbija się w lazurze nieba i wysyła niebieskawe refleksy na ziemię. Impresyonista odtwarza te refleksy, potęgując je nieraz umyślnie i jednoczy w tym kolorze niebieskim wszystkie barwy lokalne obrazu.

Dla osiągnięcia tego celu posługuje się impresyonista pewną techniką, która była nieznaną dawniejszym malarzom. Dawniejsi mieszali barwy na palecie i kładli je na płótno tak, że obraz tak zblizka jak i zdaleka jednakowo się przedstawia. Całkiem inaczej postępuje impresyonista. Nie miesza barw na palecie, ale kładzie każdą barwę z osobna na obraz w postaci mniejszych lub większych plam lub też całkiem drobniutkich punktów. Ten ostatni kierunek zwie się neoimpresyonizmem lub pointylizmem (od point-punkt). Stąd obraz zblizka oglądany przedstawia się jak bezładna masa plam różnokolorowych mniejszych i większych. W miarę jednak jak się od obrazu oddalamy, plamy owe, czy punkty zaczynają się na podstawie prawa perspektywy powietrznej do siebie coraz bardziej zbliżać, naturalnie nie na obrazie, lecz na siatkówce naszego oka, aż wreszcie zlewają się zupełnie. W tej chwili z masy bezkształtnej plam powstaje obraz, przedmioty zaczynają się przyoblekać we właściwe swe kształty, jednem słowem rzeczywistość jakby zaczarowana wychodzi z chaosu plam i barw. Teraz rozumiemy, dlaczego obrazów impresyonistycznych nie można zblizka oglądać. Stąd też nazwa impresyonizmu. Nie o przedmiot tu chodzi, lecz o wrażenie, jakie dany przedmiot robi na oku naszem w pewnej chwili, oblany światłem i powietrzem.

Może się zdarzyć, że do naturalnej barwy przedmiotu malowanego przybywa barwa inna, — ta mianowicie, w której przedmiot jest w pewnej chwili niejako zanurzony. Stąd krowa nieraz przedstawia się niebiesko, a rola czerwono. Maluje bowiem artysta krowę czy rolę nie taką, jaką ona jest, lecz taką, jaką się ona w danej chwili oku przedstawia.

Jakkolwiek nowy to wynalazek, to jednak i u dawnych malarzy można odnaleźć zarodki tej maniery. Tak n. p. kto się przypatrzy dobrze portretom Velasqueza, które są w wiedeńskiej galeryi, ujrzy na twarzach delikatne fioletowe czy niebieskawe refleksy świetlne, które powlekają naturalną barwę cielistą twarzy.

Takim impresyonistą jest Błocki. Inaczej malować nie będzie, bo się wykształcił w szkole impresyonistycznej, (uczeń Wyczółkowskiego). Nie można też od niego żądać, by malował na sposób dawniejszych. Swoją drogą do wielkich rzeczy on się nie nadaje. Lepiej udają mu się rzeczy drobne i średnie. Tak n. p. szkice dwa, które były umieszczone w sali rektorskiej uniwersytetu, właśnie dlatego, że były mniejsze, lepsze czyniły wrażenie, niż ten kolosalny portret, który omawiamy. Prześliczny jest ten szkic, który przedstawia Arcypasterza ubranego w szaty pontyfikalne z pastorałem w ręku prawie en face, jak oparty o ołtarz przemawia do zgromadzonych profesorów uniwersytetu w katedrze. A drugi szkic nie mniej ładny, przedstawiający Arcybiskupa w todze fioletowej i birecie tegoż koloru z profilu o barwach niezmiernie żywych i harmonijnych.

Pierwszy szkic nadawał się więcej do kościoła, drugi do salonu. Ten drugi też wybrano i wedle tego szkicu wykonał artysta portret w znacznie większych rozmiarach, obecnie zawieszony w auli uniwersyteckiej. Oba szkice takie są barwne, takie są piękne, że należałoby jeden i drugi zakupić i umieścić je n. p. w zakrystyi katedralnej lub w pałacu arcybiskupim.

Ci, którym się portret nie podoba, woleliby mieć portret w guście Pochwalskiego, Augustynowicza, Batowskiego lub Kwiatkowskiego, lecz zostali przegłosowani. I niema czego żałować. Pośród tylu monotonnych portretów będziemy mieli

raz dla odmiany portret barwny wysokiej wartości, jak wogóle wszystko, co pochodzi z pod pendzla artysty tej miary, co Błocki. *X. Wł. Żyła.*

**Opactwo na Łysiej Górze.** „Gazeta Kielecka" donosi: Cesarz Karol ofiarował 4000 koron na roboty ochronne około krużganków i kaplicy w opactwie po-benedyktyńskiem św. Krzyża na Łysiej Górze. Opactwo to jest jedną z najstarszych placówek chrześcijaństwa w Małopolsce, wzniesione na miejscu otoczonem od wieków baśniami ludowemi; ucierpiało bardzo wskutek działań wojennych w latach 1914 i 1915. Dawne gotyckie krużganki klasztorne są najstarszą częścią istniejących tam jeszcze budowli; powstały one za czasów Jagiełły, który kazał ozdobić je malowidłami, podobnemi, jak w kaplicy zamkowej w Lublinie. Kaplica św. Krzyża jest późniejsza, wczesno-barokowa; ucierpiała na szczęście niewiele i zachowała zarówno piękny nagrobek rodziny Ossolińskich jak i freski Macieja Reicha z r. 1782.

**Kilka słów o elukubracyach „Piasta".** Żywiołowa, namiętna walka, bez oglądania się na zdrowe, rozumne zasady, dochodzi do zenitu w swem rozpętaniu między stronnictwem ludowem marki „Piasta" a budzącym się do życia Związkiem katolicko-ludowym. Odżył więc instynkt prowodyrów ludowych z p. Witosem na czele, który zdawał się cichnąć w ostatnich latach, co wpłynęło na złagodzenie namiętności politycznych. Gdy jednak stronnictwo ludowe zaczęło przeczuwać, że potęga jego chyli się już do upadku, rzuciło w lipcu br. hasło walki bezwzględnej o swój stan posiadania. Radykalizm partyi „Piasta" może już obecnie iść w najlepsze w zawody z partyami wrogiemi katolicyzmowi.

Jakich metod i wybiegów chwytają się redaktorzy i współpracownicy „Piasta", o tem można nabrać wyobrażenia już z kilku ostatnich numerów tego pisma. Dla ilustracyi tej niecnej walki ze Związkiem katolicko-ludowym warto przytoczyć kilka próbek. I tak: fabrykuje się korespondencye w redakcyi „Piasta" z różnych okolic całej Galicyi i Polski niemal całej, wkłada się pióro do rąk korespondentów zmyślonych i słowa do ust osób, którym się ani nie śniło, by wogóle w życiu mogli coś napisać do gazet. Wszystko składnie zmierza do jednego celu: gloryfikacyi p. Witosa za jego projekt rozdziału ziemi obszarników i latyfundyów. W „Piaście" z dnia 15 z. m. spotykamy się nawet z rozprawą niby to naukową jakiegoś podobno księdza (nazwiska jego nie chce redakcya zdradzić dla znanych powodów), który przyłącza się do zapatrywań „Piasta", wywodząc, że Kościół nie może mieć słuszności, kiedy nie chce dać sobie wydrzeć ziemi, bo dominium altum ma władza świecka. Wszystko to dopasowane do haseł ludowych.

Rzeczą jest widoczną, że powoływanie się „Piasta" na religię katolicką, której się lud nie może wyprzeć, to tumanienie prostaczków. Obecnie ta walka przybrała najostrzejsze formy. Przedmiotem ataków i niecnych insynuacyi nikt inny nie jest na łamach „Piasta", tylko kler, okrzyczany jako wstecznik, wróg wolności chłopa. Ten jednak, kto obok „Piasta" będzie czytał także organ Związku katolicko-ludowego „Lud katolicki", który coraz więcej zyskuje sobie zwolenników we wszystkich dzielnicach Polski, będzie mógł łatwo rozpoznać, gdzie jest prawda. *X. F. Gr.*

**Nieco o kościele anglikańskim.** Od kilku tygodni bawi w naszem mieście duchowny anglikański Ryszard Courtier-Forster, brytyjski kapelan dla Odessy i rosyjskich portów nad Morzem Czarnem. Przebywał dotychcza w Odessie przez 8 lat. Po zajęciu tego miasta przez wojska austryackie, władze niemieckie w Kijowie, dowiedziawszy się o pobycie angielskiego duchownego w Odessie, kazały mu natychmiast stamtąd się wynosić i na miejsce pobytu wskazano mu Lwów.

Dowiedzieć się można od niego wiele ciekawych rzeczy o stanie obecnym kościoła anglikańskiego. Wspomniany duchowny należy do kościoła episkopalnego, który tam nosi nazwę „High Church" tj. „wyższy kościół", w przeciwieństwie do „Law Church" „niższy kościół", która to nazwa obejmuje różne sekty, jakie się w łonie kościoła anglikańskiego wytworzyły.

Wiadomo, że kościół anglikański zachował hierarchię Kościoła katolickiego i ceremonie katolickie. Obecnie jest tam bardzo ożywiony ruch rytualistyczny, dążący do naśladowania we wszystkiem obrządków Kościoła katolickiego. Anglikanie nazywają swój kościół także katolickim z dodatkiem „anglikańsko-katolicki" dla odróżnienia od rzymsko katolickiego „roman-catholic-church". Nienawidzą wszystkich protestantów i nie chcą z nimi nic mieć wspólnego, a wielce szanują Kościół rzymski.

We wszystkiem zbliżają się do katolicyzmu. Nic też dziwnego, że tak wiele tam konwertytów. To, czego nas uczono w szkołach i w książkach o zasadach anglikańskich, zdaje się nie odpowiadać rzeczywistości. 38 artykułów królowej Elżbiety, które mają być ułożone w duchu kalwińskim, już za Jakóba I. zostały zarzucone. Uznają Anglikanie wszystkie 3 symbole: apostolski, niceno-konstantynopolitański i Atanazego. Uznają wszystkie Sakramenta, a we Mszy, której ceremonie zupełnie podobne są do katolickich, widzą prawdziwą ofiarę. Wierzą przedewszystkiem w rzeczywistą, prawdziwą i istotną obecność P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, nietylko w chwili konsekracyi i Komunii, ale w stałą obecność. Forma konsekracyi przy Mszy jest zupełnie ta sama, co i u nas. Również mają spowiedź szczegółową z formułą absolucyi równobrzmiącą naszej.

Świąt jest znacznie więcej, niż u nas obecnie. Posty również te same co i u nas, z tą różnicą, że nie są zniesione. Mają np. post suchedniowy 4 razy do roku na uproszenie dobrych kapłanów. Święcenia kapłańskie podobnie jak u nas odbywają się przez włożenie rąk biskupich.

Co do celibatu i stroju kapłanów, rzecz ta zostawiona jest każdemu do woli. Wielu duchownych żyje w celibacie, inni w małżeństwie. Podobnież ze strojem. Wielu chodzi w sutannach, inni w ubraniu krótszem.

Courtier-Forster żyje w celibacie i chodzi zawsze w sutannie, z pasem, w szerokim kapeluszu. Na palcu ma pierścień z relikwiami św. Nosi też na szyi krzyż z relikwiami Krzyża św. W ogólności cześć relikwii, cześć Matki Boskiej i Najśw. Sakramentu — jak u nas.

Courtier-Forster chodzi codziennie do rzymsko-katolickiego kościoła rano na Mszę, po południu na benedykcyę. Szczególnie podobają mu się wystawienie Najśw. Sakramentu i uroczyste benedykcye. Powiada, że czuje się bardzo szczęśliwym w naszem mieście wśród katolickiego i religijnego społeczeństwa.

Co do ważności święceń kapłańskich, opowiadał, że Mateusz Parker, anglikański prymas za czasów Elżbiety, nie był święcony przez królowę, lecz przez biskupa, który przedtem był rzymsko-katolickim, a więc miał ważne święcenia. Inaczej niktby w Anglii władzy kapłańskiej nie uznawał, gdyby była gdzieś przerwa w następstwie biskupów. To tylko przyznają, że nie mają jurysdykcyi ze strony rzymskiego Papieża, ale jest to jedyna różnica między anglikańskim a rzymskim Kościołem, że nie uznają rzymskiego Papieża.

Na pytanie, czy uznają za głowę swojego kościoła każdorazowego panującego w Anglii, odpowiedział, że istnieje wprawdzie przysięga supremacyjna, którą każdy duchowny anglikański musi składać, ale ta przysięga odnosi się jedynie do rzeczy świeckich i zobowiązuje do zachowania ustaw państwowych, nie odnosi się zaś do spraw religijnych.

Wszystkie zasady i ceremonie kościoła anglikańskiego zawarte są w książce podobnej do naszego brewiarza, którą ma każdy anglikański duchowny przy so-

bie, a która nosi nazwę „Book of common prayers" książka codziennych modlitw.

Ciekawe jest też zarządzenie anglikańskiego kościoła na wypadek, gdyby duchowny anglikański znalazł się w miejscowości, gdzie niema kościoła anglikańskiego. U nich istnieje obowiązek słuchania Mszy jak u nas, a w braku nabożeństwa swego, każdy anglikanin nie tylko **może** pójść na Mszę do kościoła katolickiego, ale nawet jest do tego ściśle **zobowiązany**.

Wobec tego kościół urzędowy anglikański byłby nie heretycki, lecz tylko schizmatycki i jeden krok wystarczy, by anglikanin stał się katolikiem. Chodzi jedynie o uznanie rzymskiego Papieża. Bliższy zatem katolicyzmu byłby anglikański kościół, niż wschodni prawosławny. Nic dziwnego, że Anglicy tak łatwo się nawracają. Wypadków nawrócenia szczególnie wiele wśród wysokiej arystokracyi i wśród warstw najniższych.

*X. Wł. Zyła.*

**Z Wiednia.** *Nowy profesor prawa kanonicznego.* W miejsce X. dra Edwarda Eichmanna, powołanego do Monachium, został mianowany profesorem wydziału teologicznego uniwersytetu wiedeńskiego O. dr. Konstanty ks. **Hohenlohe-Schillingsfürst**. Ur. w Wiedniu w r. 1864, ukończył tamże studya prawnicze, poczem wstąpił do namiestnictwa i pracował jako komisarz przy kilku starostwach, a od r. 1896 jako sekretarz namiestnictwa w Insbruku. W r. 1898 zrezygnował z tego urzędu, czując się powołanym do stanu duchownego i wstąpił do zakonu Benedyktynów. Otrzymawszy (w r. 1902) święcenia kapłańskie, pełnił obowiązki profesora w gimnazyum zakonnem w Seckau, a od r. 1907 był profesorem prawa rzymskiego i filozofii prawa w międzynarodowym uniwersytecie św. Anzelma (Benedyktynów) w Rzymie. Po wybuchu wojny z Włochami wrócił do swego klasztoru w Seckau. Wydał kilka bardzo uczonych i cennych książek i rozpraw, z których przytaczamy: „Gründe der Schadenersatzpflicht in Recht und Moral" (r. 1914) i „Einfluss des kanonischen Rechts auf das Zivilrecht (r. 1918) i td.

## Wezwanie do nabożeństw pokutnych.

***Ukochani moi!***

Z dniem każdym przygniata nas coraz bardziej ciężar wojny. Do ustawicznej troski o losy osób nam drogich, do nędzy, głodu i chłodu przybywa klęska tajemniczej zarazy.

Pomny Bożego rozkazania wznosiłem, niegodny, dłonie nad ludem moim, zmiłowania Bożego błagając. Korzyli się ze mną kapłani. I wy w świątyniach i przed domowym ołtarzem zasyłaliście korne prośby do Pana Zastępów.

Ale czyśmy się dosyć i dobrze modlili? Czyśmy się dosyć modlili publicznie i społem?

Czy tu wystarcza sama modlitwa? Od Abrahama, gdy żądał przebaczenia dla miast występnych, zażądał Bóg sprawiedliwych. Sprawiedliwość jest oddaniem Bogu wszystkiego, co się Bogu należy, a ludziom, co się ludziom należy, jest czynieniem wszystkiego możliwego dobra, unikaniem wszelkiego zła, krzywdy. Czy takich sprawiedliwych, którzy Bogu wszystko dali, co jest Bożego, a bliźnim, co jest bliźnich, czy takich sprawiedliwych jest dużo między nami? Czy ta o pomstę do nieba wołająca lichwa, to paskarstwo wszelkiego rodzaju, nie jest najoczywistszem świadectwem, że także w naszem społeczeństwie są ludzie możni i ubodzy, wielcy i mali, którzy, znieprawiwszy sumienie, żyją tylko gorączką bogacenia się kosztem słabszych, bezbronnych, głodnych.

Wojna najwidoczniej zbliża się do rozstrzygnięcia. Bliska temsamem chwila, kiedy także ważyć się będą losy naszej Ojczyzny. Chcemy ją mieć wszyscy zjednoczoną, wolną. Niewidzialnym Przewodniczącym na przyszłej międzynarodowej konferencyi pokojowej będzie nie kto inny, jeno sam Bóg. Przedewszystkiem tedy Pana Boga przez modlitwę, pokutę, cnotę uczynić sobie musimy sprzymierzeńcem.

Dla przebłagania więc majestatu Bożego za winy osobiste i społeczne, dla uproszenia sobie Jego łaski i zmiłowania dla całego narodu zarządzam, żeby w trzecią, a w razie niepogody w czwartą niedzielę października odprawione zostało we wszystkich świątyniach archidyecezyi nabożeństwo pokutne i błagalne. Na Sumie należy wystawić Najświętszy Sakrament w monstrancyi, odczytać ludowi niniejszą odezwę, wezwac z wielką miłością w kazaniu wszystkich, bogatych i ubogich, pracodawców i robotników do naprawienia wzajemnie wyrządzonych sobie krzywd, jakoteż do najobfitszych uczynków sprawiedliwości i miłosierdzia chrześcijańskiego, do gorących modlitw za pomyślność Ojczyzny.

Po Sumie należy odśpiewać „Święty Boże", „Przed tak wielkim Sakramentem" i udzielić błogosławieństwa. Następnie wyruszy procesya pod przewodnictwem kapłana (w fioletowej kapie) do kaplicy, ołtarza lub krzyża, skąd po odmówieniu Litanii do Matki Bożej wróci do kościoła. Po drodze należy śpiewać Różaniec.

Dla kościołów lwowskich zarządzam, aby Sumę w trzecią niedzielę b. m. odprawiono przy wystawieniu Najśw. Sakramentu w monstrancyi. Po południu o godz. 3 1/2 procesye ze wszystkich kościołów zbiorą się w kościele OO. Bernardynów u grobu Bł. Jana z Dukli. Po kazaniu odśpiewają wszyscy pieśń pokutną: „Przed oczy Twoje Panie" i udadzą się do Bazyliki katedralnej, do stóp Najśw. Panny Łaskawej i do grobu Bł. Jakóba Strepy. Przed wystawionym Najśw. Sakramentem odmówimy Litanię do Matki Bożej, po której nastąpi kazanie, święty Boże i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Nabożeństwo to należy ludowi ogłosić z ambony w niedzielę drugą, 13. października i zachęcić do najliczniejszego w niem udziału.

* * *

Za czasów Grzegorza Wielkiego wybuchła w Rzymie wielka zaraza, która porywała ofiar tysiące. Papież zarządził pokutną procesyę, w której wzięły udział niezliczone tłumy wiernych. Kiedy procesya wracała do grobu św. Piotra, ujrzeli uczestnicy nad zamkiem miasta Anioła, chowającego miecz do pochwy. Z tą chwilą zaraza wygasła.

Zasłużmy modlitwą, pokutą, dziełami miłosierdzia, żeby Anioł Boży i teraz miecz gniewu schował do pochwy, a zwiastował upragniony, sprawiedliwość narodom niosący pokój.

*We Lwowie, dnia 30 września 1918.*

**† Józef Bilczewski**
ARCYBISKUP.

# Bibliografia.

Wołyniak: **Z przeszłości Karmelitów na Litwie i Rusi.** z przedmową Franciszka Rawity Gawrońskiego. — Część I., stron XVII i 521, część II. stron 251; Kraków 1918, nakładem OO. Karmelitów na Piasku, skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. — Będzie to prawdziwą i wielką zasługą OO. Karmelitów na Piasku w Krakowie, tego najstarszego z istniejących w Ojczyźnie naszej klasztorów karmelitańskich, że za przeoratu O. Kazimierza Wiśniewskiego wydali swym nakładem nowe dzieło znanego historyografa klasztorów w Koronie i Litwie, kryjącego się zawsze skromnie pod jakimś pseudonimem. — Zasługa tu autora i nakładcy podwójna: z jednej strony pora wojny nie zachęca do podobnych prac i wydatków — z drugiej strony domagała się tego i przeszłość i przyszłość zakonu. — Karmelici dawnej obserwy, prócz poważnego o sobie artykułu w *Encyklopedyi Kościelnej* Nowodworskiego pióra X. prałata Chodyńskiego mieli dotychczas tylko jedno samoistne, ale nie wyczerpujące dzieło, napisane lat temu z górą siedmdziesiąt przez O. Ignacego Chodynickiego, a nadto zakon ten, niegdyś mający w Rzeczypospolitej do 70 klasztorów, dziś posiada ich zaledwie 8 i to nielicznie obsadzonych. — Ta ogromna różnica powstała przeważnie wskutek prześladowania Kościoła przez schizmę, o czem gdy w obecnych stosunkach niema już mowy, Karmelici, jak sądzimy, mogliby niejedną swą siedzibę nieprawnie odebraną odzyskać, gdyby sami byli liczniejsi. Czas więc jak wraz przypomnąć swe dzieje czytającym dzieła poważne Polakom i z pracy swych przodków zaczerpnąć zachęty do nowych w przyszłości zasług.

Autor, czego bardzo żałujemy, ale za co pretensyi doń mieć nie możemy, nie objął wszystkich klasztorów karmelickich w Rzeczypospolitej: ograniczył się jedno na klasztorach męskich i żeńskich na Litwie, Rusi Białej i Czerwonej, oraz Wołyniu, Podolu i Ukrainie, gdzie, nawiasem mówiąc, większość się ich znajdowała; ale właśnie to ograniczenie się w pracy nadaje dziełu jego w dobie obecnej cechę zasługi szczególnie obywatelskiej. W chwili, kiedy szowiniści litewscy i ruscy, a wśród nich tylu w sutannie, z zapałem gorączkowym, ale nie pochodzącym bynajmniej z ducha Chrystusowego, chcieliby Polaków wyprzeć z tych ziem, na których ci prawa do siedziby nabyli pracą i zasługą szeregu pokoleń i wieków, uczony i pracowity Autor, zamiast wszelkiej z nimi polemiki, przedstawia Czytelnikowi dziewiczy las faktów. — A więc 56 siedzib zakonnych, ufundowanych i zamieszkałych przeważnie przez Polaków, zaopatrzonych w biblioteki, utrzymujących szkoły, a więc będących ogniskami cywilizacyi i oświaty, a nadewszystko religii katolickiej we wschodniej części Rpltej. O każdym klasztorze zbiera wszystko, na co tylko natrafił w archiwach klasztorów krakowskiego, lwowskiego i kuryi generalskiej w Rzymie, a także w cennych dla spraw ojczystych zbiorach Ks. Czartoryskich w Krakowie. — Dodawszy stare katalogi zakonne, acz drukowane, ale dziś rzadkością będące, mieć będziemy przeważną część źródeł jego pracy, zebranej w całość jak zawsze z benedyktyńską sumiennością.

Dzieło poprzedza uczona i obszerna przedmowa, pióra Franciszka Rawity Gawrońskiego. W niej historyk dzielnic ruskich, biorąc assumpt z bibliotek i archiwów karmelickich, rozprawił się poważnie i stanow[illegible] z autorem Monachomachii. — Każdy, kto o tym utworze K[illegible]lego informował się u Brucknera lub Chrzanowskiego, niech [illegible]ie dla odmiany przeczyta, co o nim pisze Gawroński, a z p[illegible] oceni rzecz sprawiedliwie.

O najnows[illegible] Wołyniaka trzeba powiedzieć to, co i o poprzednich jego d[illegible]ach, że treść jego jest przeobfita: wymownie świadczy o tem dodany spis alfabetyczny osób i miejscowości, a sześć arkuszy druku liczący.

*M.*

---

# Wspomnienie pośmiertne.

## Śp. X. Karol Suwada.

Urodził się 1/VII 1879 r. w Zembrzycach. Gimnazyum i seminaryum duchowne kończył w Tarnowie. Jako wikaryusz pracował w Ciężkowicach, w Dębicy i w Tarnowie; od r. 1913 był proboszczem w Borowej ad Mielec. Zmarł 20/IX 1918, w 16 roku kapłaństwa.

Cechowała go silna, dziecięca wiara i szczera pobożność. Wielu a zwłaszcza świeccy mniemają, że pobożność objawia się także w życiu ponurem, w stronieniu, odgraniczaniu się od ludzi. Sp. Karol z prawdziwą pobożnością łączył wesołość i swobodę. Dar to nie mały, rzadki, wymagający znacznego wyrobienia wewnętrznego, by w każdy zespół, w każde towarzystwo, duchownych czy świeckich, wnieść zawsze nastrój pogodny, rozweselający a nigdy nie przebrać miary, nigdy nie stanąć w kolizyi, nie mówię, z przykazaniami Bożemi, ale i z poczuciem i godnością stanu kapłańskiego. Śp. Karol posiadał ten dar w stopniu wysokim. To też wszyscy pożądali jego towarzystwa, chociaż w wypowiadaniu swego zdania i prawdy był może za otwarty, a każdy, kto się z nim zetknął, mówił nieraz: jak ten ksiądz jest wesoły, jak on musi być szczęśliwy! Był rzeczywiście i czuł się szczęśliwym X. Karol mimo ogromną wrażliwość na przeszkody i trudności. To zaś jego zadowolenie wewnętrzne, to pogodne zawsze usposobienie wypływało ze szczerego oddania się idei i posłannictwu kapłańskiemu, które pokochał swą gorącą duszą bez zastrzeżeń, wypływało z wielkiego nabożeństwa do Matki Najśw. i do Najśw. Serca Jezusowego. Nikt nigdy z ust jego nie słyszał skargi, że lepiejby mu było w innym zawodzie, gdyż w kapłańskim stanie widział on dla siebie najobszerniejsze pole do działania dla dobra bliźnich, gdyż był przekonany, że tylko jako kapłan może dzisiejszemu człowiekowi, choremu na różne choroby, w niedowiarstwie i obojętności religijnej mające swe źródło, jedynie skuteczne z apteki wiary podać lekarstwo. Jakim Matki Najśw. był czcicielem, dowodem tego niech będzie, że ani nawał pracy, ani zabawa nie skłoniła go nigdy do tego, by choć w jednym dniu zaniedbał odmówienia całego różańca. Gdy zaś został proboszczem, najusilniejszem jego dążeniem było, by każdą rodzinę w parafii oddać w opiekę Sercu Jezusowemu. Wiedział on dobrze, że jaka rodzina, taka gmina, taka parafia, takie społeczeństwo, taka Ojczyzna.

Odznaczał się wybitnym darem wymowy. Mówił trochę monotomnie, za prędko, a jednak nie tylko lud, ale i inteligencya i młodzież szkół średnich bardzo chętnie go słuchała i długo pamiętała jego kazania. Nauki bowiem jego były zawsze aktualne. Baczną zwracał uwagę na nurtujące w społeczeństwie i między ludem najświeższe prądy i hasła, a co ważniejsze, umiał je oświetlać i zbijać trafnie, w sposób zaciekawiający i odpowiadający wykształceniu słuchaczy. Największą wadą — mawiał — kaznodziejów, zwłaszcza miejskich, jest, że przemawiają do tych, których niema w kościele, że zbijają zarzuty przeciw wierze, należące już do przeszłości, a zapominają o tych, którzy w nabożeństwie każdej niedzieli biorą udział i nie podają im zdrowej karmy prawd wiary, tych prawd nie objaśniają. Podobnymi wydawali się mu ci kaznodzieje do gospodarza, troszczącego się nie o tych gości, którzy przyszli na biesiadę, lecz o tych, którzy zaproszeniem wzgardzili.

Najpiękniejszą jednak cnotą śp. X. Karola było miłosierdzie. Dziwili się nieraz konfratrzy, dlaczego on ciągle w opałach pieniężnych? Odchylmy dziś tę zasłonę! Na swoje potrzeby wiele on nie wydawał, ale za to, — kiedy był wikaryuszem, życzyli sobie chorzy, by X. Suwada do nich przyjeżdżał, bo on zawsze opatrzył nie tylko św. Sakramentami, ale i jakąś kwotą. A kwota ta nieraz była bardzo znaczna: ile było w kieszeni. Jako proboszcz, mający wcale dobre beneficyum, ani ziarnka zboża żadnego roku nie sprzedał, a mimoto na przednowku i u niego w komorze zawsze była pustka i sam po dworach na własną potrzebę pożyczał, bo zasadą jego było: »quidquid parochus acquirit, parochianis acquirit, praesertim pauperibus«. Dla parafian też sprowadzał własnym kosztem w znacznej ilości materyę na ubrania, obuwie, sztuczne nawozy.

Z innych prac jego wspomnę jeszcze tylko o tem, że jako wikaryusz odnowił i rozszerzył kościółek w Krzyżu pod Tarnowem, jako proboszcz opasał pięknym, murowanym parkanem kościół parafialny i ten kościół i zakrystyę zawsze w największej utrzymywał czystości, odnowił plebanię, założył wielki ogród, w którym zasadził blizko 300 doborowych drzew owocowych; w roku bieżącym mimo ciężkiego zapadania na zdrowiu postawił murowane budynki gospodarcze w miejsce spalonych, a nadto brał udział we wszystkich zrzeszeniach, mających na oku dobro ludu.

Uznał tę pracę jego i zalety lud, który też wziął jak najliczniejszy udział w pogrzebie, uznali bracia kapłani, którzy oddali ostatnią jego zwłokom usługę, uzna je — miejmy nadzieję i módlmy się o to i Ten, którego śp. Karol był kapłanem. *X. W.*

## Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

D. 16-go bm. na porządku dziennym sprawozdanie z działalności „Ogniska młodzieży“ w ubiegłym roku szkolnym.

## Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

*Zamianowany* katechetą szkoły wydz. żeń. św. Anny we Lwowie X. Michał Dobija (po powrocie z Pragi).

Dyec. tarnowska.

*Odznaczeni*: XX. Michał Klamut rok. i mant. i Bernard Orzechowski exp. can.

*Przeniesieni*: XX. Jan Wielgus z Radgoszczy do Szczurowej, Aleksander Rusin z Borowej do Grębószowa, Walenty Klimek z Wietrzychowic na administratora do Borowej, Jan Drożdż ze Szczurowej do Wietrzychowic, Wojciech Pierzga z Wietrzychowic do Radgoszczy.

*Prezentę* na prob. w Tyliczu otrzymał X. Karol Padykuła.

*Zmarł* X. Władysław Krzanik, wikary w Nowem Rybiu, w 29 r. życia a w 3 r. kapł. *R. i p.*

## Komunikat.

**Biuro porady prawnej K. B. K.** Przed trzema przeszło laty utworzono przy krakowskim książęco-biskupim Komitecie biuro porady prawnej, które udziela porady i pomocy we wszystkich sprawach wynikających z dzisiejszych stosunków wojennych. W szczególności służy biuro poradą i pomocą w uzyskiwaniu wszelkich zasiłków i zaopatrzeń wojskowych, zapomóg inwalidzkich, wynagrodzenia za świadczenia wojenne, odszkodowania w sprawach odbudowy kraju i t. d. Lokal biura mieści się w Krakowie, plac Maryacki 2 Ip. Otwarty jest od 9—1 przedpoł. z wyjątkiem niedziel i świąt. Dla Białej i okolicy utworzono biuro filialne w Białej w Domu Katolickim.

## Korespondencya redakcyi.

XX. Fr. M. — C. w Z. P. K. L. Artykuły zamieścimy w najbliższym czasie, skoro tylko znajdziemy na nie miejsce Dr. A. M. nr. zażądany posyłamy. Sprawozdania K. B. K. nie dostaliśmy dotąd.

**Na fundusz wyd. Gaz. Kośc.** złożyli P. T. Księża: Eugeniusz Wolski (z Dębicy) 40 k. Józef Chrapek (z Kęt) 6 k. Franciszek Palichleb (z Machnówka) 10 k. Józef Rafa (z Iwonicza) 14 k. M. S. 18 k. Ludwik Staufer (z Zabłotowa) 13 k. Dr. Jan Wiślicki (z Tarnowa) 10 K. N. N. (z Kijowa) 34 k. Wiktor Bilski (z Obroszyna) 8 k. Dr. Jan Czuj (z Brzeska) 20 k. Ludwik Ligaszewski (z Siemiechowa) 10 k.

**Na prasę katol.** X. Eugeniusz Wolski 60 k.




Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.

Z drukarni J. Chyzińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77